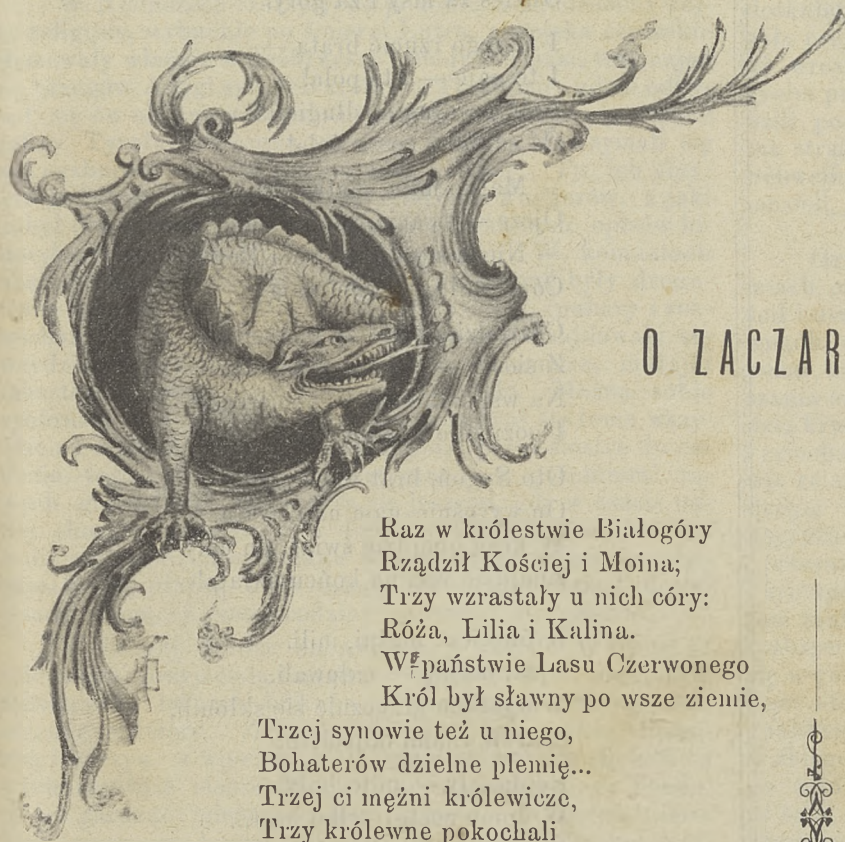


# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



*Antoni Lange.*

B A Ś Ń

## O ZACZAROWANYCH KRÓLEWICZACH.

Raz w królestwie Białogóry  
Rządził Kościej i Moina;  
Trzy wzrastały u nich córki:  
Róża, Lilia i Kalina.  
W państwie Lasu Czerwonego  
Król był sławny po wsze ziemie,

Trzej synowie też u niego,  
Bohaterów dzielne plemię...  
Trzej ci mężni królewicze,  
Trzy królewne pokochali  
Za ich serca i oblicze,  
I wnet swatów im posłali.

Lecz królewne Białogóry,  
Gdy ujrzwały posłów tych:  
— Ach, zabawne to konkury —  
I to mówiąc, dalej w śmiech!  
Nie chcę Tura ni Sokoła,  
Nie chcę męża Wieloryba! —  
Jedna — druga tak zawoła —  
Gdy mię zmuszą — wtedy chyba! —  
Rzekną swaty do Kościeja:  
— Gdy nie chcecie, więc was zmuszą!  
Bo to sprawa czarodzieja,  
Co się zemścił całą duszą!

Mieli siostrę królewice,  
Co na imię miała Lira;  
Swaty śle po krasawicę  
Straszny karzeł Malakira.  
Któryż ojciec chce mieć dziecko,  
Czarodzieja — karła żonę?...  
Karzeł porwał ją zdradziecko,  
Uniósł w ziemię oddaloną.  
Dokąd uniósł? Ach, nikt nie wie!  
Lecz do złości wszelkiej skory  
Zaczarował jeszcze w gniewie  
Królewiczów na potwory.  
Trzej ci mężni królewicze —  
Na zwierzęta przemienieni!  
Jakże straszne ich oblicze,  
Któż i kiedy znów ich zmieni?

Brat najstarszy między niemi  
Dziś nie człowiek — jeno Tur,  
Zbrojny rogi potężnemi,  
Zamieszkuje ciemny bór.  
Drugi postać ma Sokoła —  
Przez zdradzieckich czarów szal:  
Piórem strojny dookoła  
Zamieszkuje szczyty skał.



Trzeci został Wielorybem,  
Pletwą dawna jego dłoń:  
Za możnego wroga czarem  
Głębi mórz zamieszkał toń. —

Powróciły do dom swaty.  
Słucha wieści Pletwonogi  
I Rogaty i Skrzydlaty!...  
Aż ich gniew porywa srogi.

— Biada tobie, Białogóro,  
Zemsta na cie i zniszczenie!  
Pójdziem wodą, lasem, górą —  
Zniszczym twoich pól nasienie.

Więc Tur woła swe bawoly,  
Król mórz ryby i delfiny,  
Sokół woła swe sokoły  
By do wrogów szli krainy.

— Czy to ziemia, czyli morze  
Las czy pole, gród czy sioło —  
Niszczcie chaty, drzewa, zboże,  
Owoc, ziarno — wszystko w koło!

Czy kopytem, czyli rogiem,  
Czyli pletwą, czyli dziobem,  
Niszczcie wszystko w kraju wrogin!...  
Białogóro, będziesz grobem! —

Pędzą tłumem żubry, tury,  
I bawoly, i danielce —  
Do tej ziemi Białogóry,  
Pól i lasów niszczyciele!

Lecą sępy i jastrzębie,  
Hej do siół, do Białogóry!  
Duszą gęsi i gołębie,  
Duszą kaczki, pawie, kury!

A delfiny i rekiny  
Opuściły mórz odmęty:  
Burzą, wicherzą wód głębiny,  
Topią wrogów swych okręty.

Cała ziemia już zniszczona  
Leży w gruzach, ogniu, łzach...  
Wicherzy morska toń wzburzona:  
W Białogórze wielki strach!

Strach na ziemi Białogóry;  
Kościę posłów im posyła:  
— Oddam, mówi, swoje córy,  
Bo przemogła wasza siła.  
Tylko armia wasza sroga  
Z woli Tura i Sokoła  
Niech opuści nas, na Boga!  
Niech ją każdy z was odwoła. —

Wnet ucichło turów plemię,  
I ucichła głębia mórz,  
Sęp i siwy sokół drzemie:  
Białogóra — wolna już.

Królewicze przyjechali  
Przed królewien jasny dwór —  
Wieczną miłość przysięgali:  
Matka płacze swoich cór!

— Piękna Różo, mówi Tur,  
W cieniu dębów, lip i sosen,  
Brylantowy dam ci dwór,  
Kochać będę cię sto wiosen.

— Piękna Lilio, rzecze Sokół —  
Wierny sługa twój ci dał,  
Zamek srebrny, złoty wokół,  
Na granicie czarnych skal!

— Piękna, droga ma Kalino,  
(Rzekł Wieloryb temi słowy).  
Ponad siną wód głębina,  
Ja ci pałac dam perłowy.

Tak mówili królewice,  
Wieczną miłość przysięgali.  
W smutku, we łzach trzy dziewice:  
— Ach, zamieszkać w obcej dali!

Ach, porzucić ojca, matkę,  
I krainę Białogóry!  
Gdzieś za morza jechać gładkie,  
Gdzieś za lasy i za góry!

I małego rzucić brata —  
I te gaje — i te pola!  
Ach, na długie, długie lata  
Co za dola, co za dola!

— Matko miła, matko droga,  
Ojcie — bracie, żegnaj nam!  
— Niech się dzieje wola Boga!  
Córki miłe, ja wam dam

Czarodziejskie trzy pierścienie  
Z sióstr — rodziny portretami  
Na wspomnienie — pocieszenie  
I poznanie między wami.

Oto Sygoń, brat wasz mały,  
On wyrośnie nam na chwata.  
W krąg obejdzie świat ten cały  
Znajdzie was na końcu świata! —

Królewicze mężni, mili.  
Ojca, matkę — całowali.  
Wszystkim grzecznie się skłonili,  
Z królewnami odjechali.

Popłakały — odjechały,  
W domu został tylko brat...  
Rośnie, rośnie Sygoń mały  
Aż szesnastu doszedł lat.

— Matko, matko! daj mi miecz —  
Uzbrój tarczą i pancerzem! —  
— Precz od niego wrogi, precz,  
Kto śmie walczyć z tym rycerzem.

— Ojcie, matko, żegnam was,  
Błogosławcie mię na drogę!  
Oto w świat mi jechać czas,  
Po me siostry, siostry drogie!

Matko, matko — pójdę sam!  
Na co sług niewiernych roje?  
Póki serce w piersi mam —  
Znajdę, znajdę, siostry moje!



Ojca, matkę ucałował,  
Ze łąż w oku na koń siadł!  
Powędrował — powędrował  
W nieznajomy, obcy świat.

(d. c. n.)

# BRAT I SIOSTRA,

KARTKA Z DZIEJÓW XVI w.

(Dokończenie).

## II.

Gościna w Augsburgu. — Cudowne ocalenie. — Wojna. — Oblężenie. — Okropna noc.

W Niemczech szerzyły się podówczas zamieszki i wojny religijne, wybuchłe po śmierci Lutera, a wojska cesarskie obozowały właśnie w Insbrucku. Podróżni nasi, trzymając się brzegów Adygi spoczęli krótko w Trydencie, gdzie odbywał się ów sławny, długoletni sobór, i przebywszy piękne doliny Tyrolu, wiosenną umajone zielenią, zatrzymali się w Augsburgu, starym bawarskim grodzie. Tu ich przyjęto gościnnie w mieszczańskiej rodzinie Fuggerów, a jaki to był dom, dowiedzieć się można z ciekawych opisów historyków tej epoki (n. p. B. Rhenanus). W komnatach starego fuggerowskiego domu, nagromadzone były drogocenne sprzęty i makaty, rzeźbione dzbany, pułhary i roztruchany, a w galerii obrazów i posągów znajdowały się arcydzieła greckiej sztuki z brązu i marmuru, mozaiki kunsztowne, starożytne monety i medale. Można sobie wyobrazić, z jaką ciekawością przypatrywał się temu wszystkiemu mały Emilek, przyzwyczajony przez siostrę do cenięcia tego, co piękne i artystyczne. A gościnność zacnych gospodarzy zwiększyła się jeszcze, gdy w czasie nagłej choroby samego pana domu udało się Grunthlerowi ocalić mu życie. I tu jednak nie mogli podróżni nasi zatrzymać się dłużej, gdyż młody lekarz nie znalazł dotąd posady, mogącej jemu i rodzinie zapewnić utrzymanie.

W dalszej drodze zabawili czas jakiś w Würzburgu u dawnego przyjaciela i mistrza Olimpii, Jana Sinapiusa, nadwornego lekarza biskupa miejscowego, i tu spędzili jesienne miesiące. Zabawiano się i tu, jak zwykle, literaturą i poezją, a wieczorami Olimpia zajmowała się haftem w towarzystwie siostrzenicy Sinapiusa i córki jego Teodory, nie gardząc igielką, chociaż chętniej brała za pióro. Emil tymczasem biegał z dziećmi, raz spadł z wysokiego tarasu w przepaść najeżoną skałami. Można sobie wyobrazić przerażenie i rozpacz siostry, kiedy usłyszawszy krzyki pozostałej dziatwy, biegła na miejsce wypadku; ale króć jej radość opisać zdoła, gdy zamiast znaleźć braciszka skrwawionego i pokaleczonego na ostrych kamieniach, ujrzała biegnącego ku sobie z wyciągniętymi rękami. Zdarzenie to uważała Olimpia za cud Opatrzności i gorącą modlitwą dziękowała Bogu za ocalenie ukochanego brata.

Nieraz jeszcze mieli oni doświadczyć tak cudownego ratunku w niebezpieczeństwie, ale tymczasem przybyli szczęśliwie do miasteczka bawarskiego Schweinfurtu, gdzie w pięć miesięcy po wyjeździe z Ferrary, Grunthler otrzymał miejsce lekarza wojsk hiszpańskich. Wiadomo, że cesarz niemiecki Karol V był zarazem królem hiszpańskim, a wojska ze służby mu musiały do obrony przeciw protestantom, zbierającym się w groźny związek przeciwko niemu. Pomimo jednak gromadzących się chmur w okóło, Olimpia urządziła sobie zacisze domowe i zajęła się ucze-

niem brata i zabranej od Sinapiusów, Teodory. Dzieci robiły szybkie postępy w języku greckim i łacińskim, Olimpia w wolnych chwilach odwiedzała chorych i ubogich, kiedy nagle przyszła wiadomość o ciężkiej chorobie matki Teodory. Dzieweczka pośpieszyła do chorej, a tymczasem z dwóch stron kraju rozpałało się zarzewie krwawej wojny: od Zachodu król francuski, niby to ujmując się za protestantami, porywał kawał ziemi niemieckiej, od Wschodu zaś Turcy wkroczyli do Węgier, jeśli nie wspomnę już o ciągłych utarczkach katolików z protestantami wewnątrz kraju. Otóż jeden z wodzów cesarskich, zuchwały i krwiożerczy, Albrecht Brandeburski, zajmując Schweinfurt wypadał ztamtąd zbrojnie pustoszył okolicę i zamki sąsiednie. W krótkie mściwy nieprzyjaciół obłęgi nieszczęsne miasteczko i przez czternaście miesięcy, od kwietnia 1553 r. nie ustawały szturm, rabunki i wszelkie możliwe klęski spadające na mieszkańców i ze strony oblegających i tych niby obrońców, którzy pod wodzą ks. Albrechta wydzielali im mienie i życie. Pojawił się głód, wybuchła dżuma i opisać trudno nędzę, która zapanowała w tej ciasnej, kulami nieprzyjacielskimi zarzucanej i ogniem pustoszonej miejscowości. Wątpia i trwożliwa zazwyczaj Olimpia nie wahała się wśród gradu kul nieść pomoc nieszczęśliwym, ale niebawem ukochany mąż jej, zaraziwszy się od tych, których leczył, został dotknięty straszliwą chorobą — dżumą. Dnie i noce trawiła przy nim pielęgnując go i modląc się gorąco Olimpia, aż wreszcie nowy ubłagała cud i Andrzej powstał z nad grobu prawie. Tymczasem nieprzyjaciele świeżo zgromadzili posiłki i właśnie po Nowym roku (1554) rozpoczęli tak straszne bombardowanie, że nieszczęśliwi mieszkańcy Schweinfurtu dniami i nocą przez całe tygodnie kryć się musieli, jak krety, w piwnicach i lochach podziemnych.

Grunthlerowie z Emilem także się ukryli w podziemiach, ale jednej nocy, właśnie gdy Albrecht miasto opuścił i uszedł przebijając się przez szeregi oblegających, ci wpadli do Schweinfurtu i wzniciwszy w kilku miejscach pożar, zaczęli rznąć i rabować, kogo dopadli. Śród zamieszania okropnego, ciemności rozwidnionych tylko tu i ówdzie krwawą luną ognia, wśród tłumu uciekającego z jękiem i szlochaniem, biegła Olimpia nieszczęsna z mężem, ciągnąc za sobą Emila i usiłując wpaść do kościoła, który jedynym bezpiecznym przyletkiem się zdawał. Kiedy napróżno starali się przebić przez tłum oszalały z trwogi i przerażenia, nieznajomy jakiś żołnierz zabrał ich z sobą i krętymi zaułkami wyprowadził za mury miasta. Ledwie się tam znaleźli, straszliwy huk, łoskot i wrzask tysięcy głosów rozbrzmiał w powietrzu, a słup olbrzymi ognia i dymu wzbił się w górę... Walily się z trzaskiem domy i kościoły, a tysiące ofiar uduszonych i zgniecionych, ostatnim jękiem zegnało się z życiem. Bezprzytomni z żalu i trwogi stali nasi zbiegowie, a tu już ich otoczyła gromada rozbestwionego żołnierstwa i obdzierając ze wszystkiego, uprowadzała ze sobą Grunthlera. W tej okropej chwili Olimpia skrwawiona, w jednej koszuli tylko, bosa, z rozpuszczonym włosiem, rzuciła się na ratunek męża i nadludzką jakąś wymową potrafiła tak zmieknąć serca tych dzikich rabusiów, że wypuścili Andrzeja. Opisuje to ona później swym przyjaciołom mówiąc: „Z niewypowiedzianej żalości serca mego jęczałam, błagałam Boga, żebrałam litości, dopóki mi męża nie oddano... Iść musieliśmy długie godziny, biegnąc po kamieniach i ostrym zwirze, gdzieśmy ślady nasze krwią znaczyli. Co chwila zdawało mi się, że upadam, aby już nie powstać i wołam tylko. Boże! zeslij Aniołów swoich, by nas na skrzydłach przenieśli, bo już nie wytrzymam... Tej nocy straszliwej przebyli dziesięć mil prawie, aż się schronili w Hamelburgu, z kąd po trzech dniach dalej uciekać musieli przed płądrującymi w okolicy wojskami. W jakimś małym miasteczku zatrzymano ich i chcieli uwięzić, ale znów się znalazł niespodziewany dobroczyńca, który obrocił nieszczęśliwych zbiegów i wręczył im piętnaście talarów w złocie. Dzięki tej pomocy, dostali się nareszcie w bezpieczne miejsce, do zamku hrabiów Erbach.



### Z życia marynarza.



### III.

Zamek Erbach. — Spotkanie w puszczy. — Heidelberg.

Rodzina Erbachów odznaczała się mądrością i enotą; sława zaś literacka Olimpi, doszła i do nich, tak, że przyjęli z otwartymi rękami wynędzniałych i zbiedzonych wygnańców. Hrabina Eberhardowa Erbach, siostra znanego z historii palatyna Fryderyka II, chociaż sama ciężką złożoną niemocą od lat dwudziestu prawie, znalazła dość siły, by otoczyć najtroskliwszymi staraniami upadającą już pod tyłu ciosami, Olimpią. I znów odzyskała na pozór przynajmniej zdrowie biedna wygnanka, a pędząc długie godziny w pięknym ogrodzie pałacowym nad brzegiem wody, toczyła rozmowy pouczające z córkami hrabiny, albo pracowała nad kształceniem braciszka szybko się rozwijającego w szkole nieszczęścia. Wieczorami odbywano wspólne modlitwy, śpiewano i rozprawiano o ciekawych przedmiotach, słowem wśród najmilszego wypoczynku upłynęło kilka tygodni.

Zaledwie jednak tułacze odzyskali siłę cokolwiek, wypadło ruszyć w niedaleką wprawdzie, lecz uciążliwą podróż przez góry i lasy gęste do Heidelbergu, gdzie Grunthlerowi ofiarowano miejsce profesora medycyny.

W podróży spotkała ich niespodziana, ale tym razem przyjemna przygoda; gdy bowiem zatrzymali się w gospodzie jakiejś wśród puszczy, zastali tam grono dzieci, wprawiających się z nauczycielem w śpiewy chóralskie. Trudno to było i „jeden jechał do Sasa, drugi do lasa,” jak mówi przysłowie, kiedy biegła w muzyce Olimpia zbliżyła się i tak dzielnie dopomogła małemu śpiewakom, że zdumiony nauczyciel zapragnął wiedzieć, kogo ma przed sobą. Dowiedziawszy się nazwiska podróżnych, wyjął pośpiesznie nuty i kazał uczniom swym zaintonować pieśni pobożne z muzyką Grunthlera na uczenia ich autora.

Nazajutrz po tem spotkaniu, podróżni przybyli do

Heidelbergu, pięknego miasta w rozkosznej dolinie Neckary. Słynna wszechnica założona jeszcze w XIV wieku i w bogatą zaopatrzoną bibliotekę gromadziła wielu uczonych mężów, a Grunthler z radością gotował się do wykładów swych w tak zaszczytnem otoczeniu. Olimpia tymczasem krzątała się około urządzenia nowego gospodarstwa, co niełatwem było, bo w Schweinfurcie wszystko utracili, nawet bibliotekę po ojcu, z trudem i kosztem wielkim z Włoch tam sprowadzoną. Uczni przyjaciele poetki starali się jej choć w części wynagrodzić te szkody, a najsławniejsi drukarze z Bazylei pośpieszyli z darami na utworzenie nowej biblioteczki. Ona tymczasem, zaledwie się wyśtarawszy o trochę sprzętów, zaprasza do siebie znów córeczkę Synapiusza, zamyśla o sprowadzeniu matki z Włoch, a ledwie sama się widzi zabezpieczoną od głodu i niedostatku, już myśli o biedniejszych i posyła jałmużny dla nędzarzy pozostałych w ruinach Schweinfurtu. Matka z tego czasu listy jej do przyjaciół pełne najwznioślejszych myśli i słów szlachetnych np.: „Cenę życiu nadają nie umiejętności, ale walka i próby przebyte. Przecież i na igrzyskach olimpijskich wieńczono nie najpiękniejszego z atletów, ale tego, który walczył i zwyciężył.” Pod wpływem tej zacnej niewiasty dojrzewał umysł i rozwijało się serce młodzieńczego Emila; teraz już, zaledwie jedenaście lat licząc czytuje z nią razem Homera, Cyserona i Wirgiliusza, słucha jej mądrych i głęboką pobożnością natchnionych rozmów. Żał pomyśleć, że to piękne, a spokojne życie tak krótko już trwać miało. W lipcu 1554 roku przybyli do Heidelbergu i nie myśleli już ruszać się z miejsca, ale zdrowie Olimpi, znękanego tylu próbami i przejściami, nie poprawiało się wcale: zawsze czynna słodka, cierpliwa, gasła jednak i niknęła w oczach. Napróżno mąż kochający otaczał ją staraniami, napróżno się garnie do niej braciszek z pieszczotą, nie już nie może zatrzymać na świetle tej wątłej, a tak szlachetnej istoty. W dodatku, z nastaniem lata 1555 roku, wybuchła w Heidelbergu okropna dżuma, a Olimpia zapominając, jak zwykle, o sobie, sama prosi męża, by ją zostawił i spieszył na pomoc nieszczęśliwym. Pomimo cierpień dotkliwych, bezsenności i coraz gorszego osłabienia, nie traci ona pogody ducha, modli się, pisze serdeczne listy z pożegnaniem do przyjaciół i wreszcie, wśród snów o kwiatach i cudnej jakiejś, otaczającej ją światłości, gaśnie cicho, przemówiwszy kilka rzewnych słów do męża i zawsze ukochanego braciszka. Było to w październiku 1555 r., a Olimpia nie miała jeszcze dwudziestu dziewięciu lat. W kilka tygodni po żonie zmarł Andrzej Grunthler dotknięty znów tą samą zarazą, od której innych ratował. Jakiż byłby los Emila po stracie tych najdroższych opiekunów, na obcej ziemi, w tak ciężkiem sieroctwie? Trudno więc żałować, że i on pośpieszył wkrótce za ukochanymi; tak więc wszyscy troje spoczęli w jednym grobie.

Dotąd w jednej z kaplic kościoła Św. Piotra w Heidelbergu, czytać można piękny napis na wspólnym ich nagrobku.

Maryja Swiderska.

## Jan Niewdzyd

Powieść z dawnych czasów

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

Lecz jak się komu nie wiedzie, to nie wiedzie. Pan starosta jakoś zaniemógł, Stępka musiał odwlec swój wyjazd tak, że dopiero w pierwszych dniach czerwca wierny





*Rajskie ptaki.*



podskarbi po nowy zasiłek pieniężny do Szreńska podążył. Nie można się więc dziwić, że przy tylu rozmaitych przygodach pan starosta, wyjechawszy ze Szreńska w połowie listopada 1668 roku, dojechał zaledwie w czerwcu 1669 r. do Nasielska.

Zawiadomiony przez wiernego podskarbiego oczekiwał jego powrotu z pieniędzmi, gdy oto z powodu ich zguby nowa zwłoka mogła się była przydarzyć.

— Teraz już tylko wypocząć po nieprzespanej nocy i zaraz w dalszą drogę — rzucił pan starosta niedbale, wchodząc do swej tymczasowej na Wesołej, w zajeździe Bodziecha, komnaty. — A przybrać tam mego nowego dworzanina, jak przystało — dodał, wskazując na Niewdzyda.

Wtem snąc nagle przyszła jakaś myśl do głowy młodemu staroście, bo uśmiechnął się pod rzadkim wąsem i nagle zapytał:

— Słuchajno, szlachcicu, jak ci tam imię?

— Jan Niewdzyd! — odrzekł, patrząc śmiało chłopiec.

— Niewdzyd, Niewdzyd! — powtórzył pan Fortunat — a czyś ty na pewno szlachcic?

— Mam papiery! — odpowiedział chłopak.

I wskazał na piersi, gdzie pod półnianką, razem ze szkaplerzem, miał schowane wszelkie dowody.

— I dlaczegożś chciał się koniecznie na mój dwór dostać?

— Gadali, co pan starosta ciągnie na obiór króla do Warszawy, chciałem więc i ja z nim pociągnąć.

— A może i królem zostać? — zapytał, patrząc nań szydlerczo, przytomny tej rozmowie Dyźma.

Niewdzyd popatrzył nań chwilę i niezmiészany podstępem zapytaniem dworusa, rzekł podnosząc głowę:

— A choćby, toć gadali, że Piasta, to jest swojaka mają obrąć, a jam taki dobry, jak i drugi!

— Ha, ha, ha! — rozśmiał się starosta na całe gardło — to ci dopiero dociał, mój Dyźmo!

I ucieszony śmiałą odpowiedzią swego dworzanina, śmiał się coraz głośniejsze.

— Mości podskarbi! mości podskarbi! — wołał rozweselony.

— Mamy nowego kandydata na króla! — rzekł do Stępki, gdy się ten we drzwiach ukazał.

Podskarbi uśmiechnął się, mrugnął porozumiewająco na pana, a czy, że słyszał rozmowę przede drzwiami czy też domyślił się takowej, chciał wszystkich oddalić, a sam ze starostą pozostać, rzekł więc wskazując na Niewdzyda:

— Możeby tego komedyanta najpierw do misy zasażać, bo jakoś mu głód z płótnianki wygląda.

— Masz rację, mój Stępka — odparł starosta — nie pomyślałem o tem.

Tymczasem Stępka, odprawivszy nietylko Niewdzyda ale i Dyźmę, zbliżył się do pana Fortunata i coś mu począł szeptać na ucho.

Mowa podskarbiego znać trafiła do przekonania pana, bo śmiał się serdecznie, powtarzając od czasu do czasu:

— Dobrze, dobrze, a to będziemy mieli setną uciechę.

— Niech jaśnie wielmożny pan teraz po trudach podróży raczy wypocząć, a ja tymczasem wszystko urządzę — rzekł Stępka, i z rozradowaniem obliczem wyszedł z komnaty.

Idąc zaś myślał sobie.

— A to mi się udało burzę zażegnać, byłem najpewniejszy, że za zgubienie worka porządnie oberwę, a może i miejsce stracę, a tu wszystko jakoś na dobre się obróciło. Winienem to temu przybłądzie; no, no, to też go weźnę w swoją opiekę... ale, żeby tak był czynny z mieszkaniem, byłoby gorzej! — myślał dalej.

— Poczywy jakiś chłopak... ba, głupi!... ale tacy są też potrzebni na świecie — rozważał sobie zacny podskarbi.

— Byleby tylko ten przybłąda zanadto w łaski się nie wkradł staroście... I zamyslił się nieco nad tem, oddany swemu panu dworzanin.

Lecz zaraz uśmiech szydlerczy, złośliwy, wykrzywił

twarz jego chudą, wygoloną i uderzył się po czole z zadowoleniem.

— Ho, ho, masz ty łeb, panie Stępko! Choćby się wkradł nie wiem jak w łaski i temu się jakoś zaradzi — dodał, przechodząc z podniesioną głową pomiędzy dworzanami.

— Jakoś nie stracił rezonu — rzucił ktoś po cichu.

— Eh, dziś nasz starosta zajął się tym przybłądą, ale poczekajmy jeno, nie ujdzie już chyba podskarbiemu jego sztuczka na sucho! — odparł inny.

Tymczasem pan starosta, posiliwszy się po nocnych trudach, przespał prawie do wieczora. A że deszcz padał i mroczno jakoś było na świecie, dwór cały poszedł za pana przykładem.

Niewdzyd zaś przybrany jako tako, słańiał się po zajeździe między dworzanami i pacholkami, którzy po przespaniu większej połowy dnia, grali w kości lub kłócili się między sobą. Przypatrywał się wszystkiemu, przysłuchiwał ich żartom i dziwił się w duszy, że im dzień na próżniactwie przechodzi.

(d. c. n.)

## RAJSKIE PTAKI.

**N**iekkość kształtów oraz nieporównane bogactwo w barwach i fantazyja w układzie piór, usprawiedliwiają w zupełności nazwę: *rajskich ptaków*, nadaną tym prześlicznym skrzydlatym stworzeniom, które jakoby z wyższych, świetlanych krain, wypadkiem tylko dostały się na naszą ziemię.

Nie też dziwnego, że przez wieki całe uważane były jako cuda prawdziwe i różne z nimi łączyły się baśnie, gdyż jedyną ich ojczyzną są wyspy Nowej Gwinei czyli Papuańskie, a dzicy krajowcy tak zazdrosnem okiem strzegą tajemnic tej bogatej wyspy, że dotychczas przedstawia ona niewyczerpane pole dla badaczów przyrody. Otrzymanie też żywego rajskiego ptaka było długi czas nawet za wysoką cenę niemożliwe, zdobywane więc tylko pośrednią drogą od Chińczyków pojedyncze skórki lub zasuszone okazy, świadczyły o rzeczywistym ich istnieniu i tem więcej zaciekawiały przyrodników.

Dzisiaj już warunki nieco się zmieniły i uczeni zdołali zbadać o tyle ich życie i obyczaje, że podają nam o nich dokładne wiadomości, usuwające wszelkie baśnie.

Ptaki rajske, poucza nas ornitologia, należą do gatunku wróblowatych; niektóre odmiany przebywają wyłącznie na wysokich gałęziach dziewiczych lasów Nowej Gwinei, inne w gestych zaroślach; jedne lubią samotność, drugie żyją towarzysko. Wszystkie zaś żywią się przeważnie owocami, chociaż polują też na drobne i większe owady, lecz żaden choćby najdokładniejszy opis nie może odtworzyć w całej pełni bogactwa upierzenia tych żywych klejnotów.

Barwy: pasowe, żółte, niebieskie, wszystkie odcienia zielonych tonów delikatnie zharmonizowane, nęcą i bawią wzrok; a jaka przytem oryginalność kształtów, jaka dziwaczność w układzie piór, jakie przepyszne upierzenie, o tem możemy powziąć wyobrażenie z załączonej tu ryciny, przedstawiającej pięć wybitnych ostatniemi czasy zbadanych odmian rajskego ptaka.

Oto u góry *Laphorina minor* z roztoczonym u szyi płaszczem z ciemnego aksamitu o lśniących połyskach, gdy główkę i kołnierz zdobią piórka złocisto zielone. Obok niej to *Epimachus Mayeri* z delikatnym długim zagiętym dziobem, strojny w szerokie naramienniki, niby roztoczone barwne skrzydła i długi ogon, mieniący się blaskiem szafirowym, gdy z pod lotek po obu stronach puszą się delikatne



piórka barwy żółtej; dziób popielato niebieskawy, nogi szaro czarne. Od lewej ręki z długim wspaniałym ogonem, to *Astrarchia Stephanæ*; czubek jej i gardziółko zielone odbijają od białego upierzenia główki; grzbiet złocisto brązowy, pióra ogona fiołkowe. *Pteridophora Alberti*, odznacza się się obok świetności barw parą niezmiernie delikatnych, długich różków, złożonych z maleńkich piórek gęsto obok siebie osadzonych. Wreszcie na samym dole ryciny to: *Amblyornis inornata* czyli „ptak ogrodnik” któremu skromniejszą nieco sukienkę wynagradza wspaniały pióropusz pomarańczowego koloru. Nazwę ogrodnika zyskał on tem, iż widocznie szczególniejsze ma upodobanie w pięknej roślinności i, trzymając się nizin, gniazdka swoje otacza zawsze kwiatami.

Nadmienić wszakże wypada, że tylko samce tak wspaniała zdobi szata, a samiczki o wiele skromniejszy wygląd mają.

Wszelkie próby przywiezienia do Europy żywych tych ptaszków zawodziły, z powodu zmiany klimatu; wypchane okazy dochodzą jeszcze teraz do cen tak wysokich, iż tylko bogatsze muzea posiadają liczniejsze ich zbiory.

## MAJÓWKA.

(Dokończenie).

— Pojedziemy do Nowo-Mińska — odezwał się wchodząc, Władzio — ojciec bierze na siebie kolej, bliżej niema tu nigdzie takich pięknych lasów.

Kazio z wielkiej radości ścisnął tak Franka za ramię, że chłopak krzyknął z bólu, Dominik zbladł, Kazio zmieształ się okropnie.

— Przepraszam cię, mój Franku — zaczął zawstydzony, ale Franek już się uśmiechał i ruszał ramionami na znak, że go nic nie boli.

— Ty nie nie masz? — odezwała się Zosia do Julki. — Weź tę chusteczkę, bo może być chłodno wieczorem.

— O, panienko!

— Weź, weź, nie pozwolę ci inaczej jechać, musisz mię słuchać dzisiaj.

Przed domem stał duży pocztowy omnibus, w który się wszyscy zmieścili wygodnie. Koła zaturkotały, dzieci spojrzały na siebie, oczy im zaświeciły, rumieńce uderzyły na twarzyczki. Boże drogi, co to za święto! Jechać w najładniejszych sukienkach gdzieś, het, precz, daleko, na cały dzień — co to będzie? jak to będzie?

Mały Dominik ciągle miał minę przestraszoną i trzymał mocno rękę Franka. Chcąc go oswoić, Zosia podała mu kawałek piernika. Chłopiec zaczerwienił się jak wiśnia, nieśmiało wyciągnął rękę, z boku spoglądając na brata, a wreszcie głowę wtuliwszy w ramiona, zaczął zjadać z miną tak rozpromienioną, że wszyscy śmiać się musieli.

— Wstydź się, Dominik — przemawiał do niego brat starszy. Ale malec nie wiedział, czego się ma wstydzić?

— Lubisz pierniki? — zagadnął go Kazio.

— Ojej!

— A cukierki?

— Też.

— A wiśnie?

Chłopiec zrobił taką minę, że nie potrzebował odpowiadać.

— A czemu ty będziesz, kiedy dorośniesz?

— Cukiernikiem — odparł stanowczo.

Wszyscy się śmiali, nawet blada Julka uśmiechała się cicho.

W kolei dzieci po prostu oderwać się nie mogły od okna, wszystko je zachwycało i cieszyło, śmiały się bezustannie, ale niebardzo głośno, bo nie wiedziały, czy to grzecznie.

— To ci ten świat ogromny! — wydziwiał zdumiony Franek.

— Czy w lesie rosną wiśnie? — pytał po cichu Dominik.

— Jagody rosną — tłumaczyła Jadzia — ale jeszcze teraz niema.

— A kiedy będą? — dopytywał chłopiec.

— Za miesiąc, może jeszcze dłużej trzeba czekać.

— To pojedziemy wtedy do lasu?

— Wstydź się, Dominik — upominał go brat starszy, a malec znów sobie myślał, czego on się ma wstydzić?

Julkę zmęczyło jednak wygląkanie, usiadła cicho w kącie i przymknęła oczy.

— Zmęczona jesteś, Julciu? — zapytała Zosia.

— Nie, panienko, tak mi dobrze.

Godzina drogi minęła jak chwila, kiedy wysiedli wreszcie, a pociąg odjechał, dzieci ogarnęła trwoga.

— Ojej, jak my daleko! — zauważyła Mania.

— Nie słysząc, czy dzieci płaczą — dogadywał jej Franek.

Julcia ostrożnie stąpała po łące, żeby nie deptać drobnych kwiatków koniczyny, Franek stał pod każdym drzewem, Antoś z Jadzą zaczęli zbierać w czapkę szyszki, ale Władzio wnet zwołał rozproszone dzieci i dał każdemu paczkę do niesienia.

— Nie zjesz pierników, Domek, to ci dam do niesienia?

— O, nie! — zawołał uszczęśliwiony chłopiec, piastując koszyk tak czule, jakby w nim były wszystkie skarby świata.

Wyruszyli w głąb lasu piękną, zieloną drogą, drzewa szumiały im na powitanie, niebo się uśmiechało, słoneczne promienie figlarnie zaglądały przez gałęzie, a wietrzyk szeptał im tysiące wieści, tańcząc przed nimi wśród gęstwiny liści, jakby się chciał popisać wesołym humorem.

Wesoło też było wszystkim, Zosia z Manią i Jadzię już zbierały po drodze kwiaty i rośliny na bukiety i do zielnika, co chwila któreś z nich woła Zosi, co chwila zapytania; wykrzykniki, Zosia się zatrzymuje, objaśnia, tłumaczy, dziewczęta zachwyczone, że jej pomódz mogą, natężają uwagę, ażeby co znaleźć. Ańdzia zaopiekowała się Julką, która w milczeniu pozwoliła prowadzić się za rękę, tylko mocne rumieńce na bladej zazwyczaj twarzyczce świadczyły o niezwykłym i wielkim wzruszeniu. Kazio znowu z zapalem dowodził chłopcami: ścigali się, zbierali mech, szyszki i korę, gdyż Frankowi i Antosiowi wszystko wydawało się skarbem bezcennym. Co oni z tego zrobią! Ho, ho, cuda, cuda!

Smaczny posiłek na ślicznej polance do reszty rozweleli i ośmielił wszystkich, twarzyczki dzieci rozgorzały szczęściem, oczy świeciły radością, zapalem, a śmiech serdeczny, szczery, rozlegał się co minuta. Widok ich wielkiej radości rozweselał i wzruszał, a ochota do zabawy udzielała się nawet starszym: poważny Władzio był już gąsiorem, lisem, później kotem i uganiał się za Jadzię-myszką — aż się zmęczyli wszyscy bieganiem i ruchem. Dla rodziców pod drzewem ułożono pęd duży i skórzane poduszki, ale ojciec ani chciał słyszeć o zwykłej drzemce, poszedł z chłopcami drogą gdzieś daleko, na koniec lasu albo świata, a Zosia z dziewczynkami zaczęła znów zbierać rośliny — cały koszyczek niemi napelniła — co za bogactwo, Boże! konwalia, borówki, kaczyniec, jaskier ostry, tasznik, ślaz, bodziszek, koziochród, złocień, storczyk i firletki, drzazczka i wreszcie niezapominajki, oprócz wielu innych, których już nie umiała sama nazwać bez książki i rysunków. Rada też była bardzo, a Józia i Mania postroiły się w wieńce, powpinały liście i kwiaty w warkocze i chodziły szczęśliwe, niby boginki leśne po ślicznych zielonych ścieżkach pod drzewami.

Ańdzia pierwsza zauważyła brak Julki. Obejrzała się dokoła uważnie: niema jej, tylko z daleka pod drzewem coś bieleje, niby jej jasna sukienka.

Ańdzia podeszła cicho i nagle zdumiona ujrzała Julkę opartą o drzewo, z twarzą zalaną łzami.

— Co ci jest? — zapytała przestraszona, a dziewczę



podniosło na nią jasne oczy, z których łzy wielkie płynęły obficie.

— Co ci jest? — powtórzyła Ańdzia, siadając obok. Możesz głodna, może ci słabo? Zmęczyłaś się zanadto?

Julka potrzasała głową.

— Więc czego płaczesz, dziecko?

Ujęła małą za ręce i spojrzała na nią tak serdecznie, że dziewczynce zadrżały usta, i choć chciała przemówić, głosu wydobyć nie mogła. Ańdzia była cierpliwa, gładziła złote jej warkoczki i czekała, aż się trochę uspokoi.

— Mnie nic nie jest — zaczęła nakoniec dziewczynka — tylko mi tak dobrze, tak dobrze. Tutaj tak ślicznie. Ja nie wiedziałam, że świat jest taki śliczny. Ach Boże, Boże, jakie to wszystko piękne! I znów płakać zaczęła.

Wzruszona Ańdzia przytuliła główkę złotowłosą i sama w oczach łzy uczuła.

— Nie płacz — szepnęła cicho — Bóg jest dobry, i ty poznasz Jego cuda; pojedziesz na kolonie, na całe sześć tygodni, a potem nieraz, nieraz zabiorę cię z sobą, kiedy będę jechała za miasto. Zawsze cię zabierać będę — dodała z postanowieniem.

— Julcia, Ańdzia pod drzewem! — rozległy się wesołe okrzyki — macie wieńce, girlandy, przystroimy was pięknie, a ty nam Ańdziu, opowiedz bajeczkę.

— O, bajeczkę, bajeczkę, paniusiu! — prosiła Jadzia, kłękając na miękkim mchu. Ańdzia uśmiechnęła się i zamysliła.

— Powiem wam piękną bajkę — rzekła wreszcie — o królewnie Złotopiórcie, co miała skrzydła złociste u ramion i bujać mogła pomiędzy gwiazdami i w promieniach słońca kąpać się codziennie, i z błękitnego nieba chmurki brać na szaty, a szczęśliwą nie była... Aż panna służebna zaprowadziła ją na szarą ziemię i zapoznała z cichym cierpieniem, co nie skarżyło się, chociaż ciemności i kłęski przynosiły jej ciężarem bezmiernym, i zapoznała ją ze smutkiem bladym, co wiadł bez słońca w jasności dziennej, i zapoznała ją z boleścią krwawą, której się rany nigdy nie goiły. I zapłakała królewna na widok krwawej boleści, smutku i cierpienia, i otworzyło się nagle w niej serce i ukochała wszystko, co widziała i — ujrzała przed sobą szczęście. Chcecie wiedzieć, co robi teraz Złotopiórka? jak żyje? gdzie przebywa? co jej szczęście daje? Posłuchajcie.

Bajka trwała bez końca, cudowna jak tęcza. Dziewczęta zasłuchane zapomniały o czasie, z oczu Julki niekiedy łza spływała cicho...

Jak prędko dzień upłynął! — rzekł Franek żałośnie, kiedy nadeszła pora siadania do wagonu.

Wszyscy westchnęli zcicha, Władzio tylko z zadowoleniem spojrzał na teczkę, którą trzymał w ręku: dzień był krótki, a jednak nie stracony dla niego, niejeden szkic mu przybył do przyszłych obrazów.

— Wiesz — szepnęła Zosia, pochylając się do siostry — ile razy teraz będziemy wyjeżdżali za rogatki, jedno z nich zabierzemy. Mama pozwoli na to. A co za porównanie

dzisiejszej serdecznej majówki ze wszystkimi innemi? Co za porównanie?

— Masz zupełną słuszność, Zosiu — odpowiedziała Ańdzia, i ścisnęła rękę siostry — i w mojej pamięci dzień ten zapisał się głęboko. Samolubne uciechy są znikomym cieniem wobec wielkiego szczęścia, jakie daje widok dobra, którego jesteście sprawcami.

— No, czemuś będziesz, Domek, skoro dorośniesz? — dopytywał żartobliwie Kazio.

Domek, choć mocno śpiący, nie trzymał się już ręki Franka, oparty o drewnianą ławkę, z wysiłkiem podnosił w górę opadające co chwila powieki, wyraz jego twarzy był pełen błogości.

— Słyszysz, Domek? — powtórzył Kazio.

— Aha, gajowym będę — odpowiedział chłopiec i kiwnął się na dobre.

Nagle Kazio zeskoczył z ławki i zaczął ścisnąć wszystkich po kolei: ojca, matkę, siostry, brata i towarzyszy zabawy.

Oszalałeś? — pytał Władek, ruszając ramionami.

— O, nie, tylko nigdy jeszcze nie byłem tak szczęśliwy, nie spędziłem dnia tak przyjemnie. Coś mi ciągle skacze w sercu i czuję, że to radość.

Władzio uśmiechnął się zlekka, ale w oczach jego malowało się także ciche zadowolenie.

Dzieci siedziały spokojnie zmęczone i upojone powietrzem, piastując zdobyte skarby: pęki kwiatów, szyszki, mech, gałązki sosen, trochę żołądki, wtaki i t. p. materiały, z których powstaną wkrótce niezwykle wyroby.

Może je obejrzymy kiedy przy sposobności.

C. Niewiadomska.



## Z ŻYCIA MARYNARZA.

Nie zawsze wesołą i bezpieczną bywa dola marynarza, zwłaszcza gdy po linach i rejach wdrapywać się trzeba w czasie silnych wiatrów, na szczyty masztów i kołysać się wraz z niemi nad pokładem i morzem wzburzonym. Na parowcach to wspinanie się mniej bywa potrzebne niż na statkach żaglowych, ale i tam zawsze ktoś musi siedzieć na bocianiem gnieździe i pilnować, co się dzieje na morzu.

W czasie burzy mocno trzymać się należy, bo łatwo zdarzyć się może wypadek, przedstawiony na naszej rycinie. Szczęściem bywa dla spadającego, jeśli runie do morza, bo pływać umie i wnet mu towarzysze na ratunek pospieszą, ale upadek na twardy pokład nie obejdzie się bez ciężkiego uszkodzenia a często i śmierci.



### PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rocznie rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3 1/2 korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** Baśń o zaczarowanych królewiczach, wiersz przez Antoniego Lange. — Brat i siostra, kartka z dziejów XVI w. — Jan Niewdzyd, powieść z dawnych czasów przez Z. Morawską. — Ptaki rajskie (z ryc.) — Majówka. — Z życia marynarza (z ryc.) — Dodatek: Przygoda Basi, wiersz przez M. D. (z ryc.) — Sprawozdanie z konkursu kaligrafii. — Naprzykrzona muszka p. 1. M. — Skrzydła odwagi przekład P. Gr. — Łamigłówni i rozwiązania. — Dodatek książkowy: Trzydzieści lat wśród dzikich, przegody Ludwika de Rougemont, opracowała dla młodzieży Walerya Marrene.



# WIECZORY RODZINNE



## Przygoda Basi.

Mała Basia, wszędobylska,  
Nigdy o tem nie chce wiedzieć,  
Jak to grzecznie się zabawiać  
Lub chwileczkę cicho siedzieć.

Wszędzie zajrzy, wszystko ruszy,  
Pełno jej w każdym kąciuku,  
Niejednemu się naprzykrzy,  
I narobi psot bez liku.

Właśnie błyska na kominku  
Ogień świeżo rozniecony,  
A złociste iskry sypie  
Z brzegu węgielek czerwony.

Psotne dziewczę już tam spieszy,  
Niepomne mamy nauki,  
I w płomieniach pogrzebaczem,  
Nuż wyprawiać różne sztuki.  
Lecz zabawa z ogniem zdradna,  
Spada węgielek płonący,

I na fartuszu dziewczynki,  
Zatlił się płomień gorący.

Z każdą chwilą się rozszerza,  
Najokropniej piecze, pali...  
Z bólu, z trwogi dziewczę krzyczy  
Cóż ją, ach, coś ją ocali!

Biegnie mama, domownicy —  
Jak kto może ogień gasi,  
Aż całe wody wiaderko  
Wylano na głowę Basi.

Woda strumieniami spływa,  
Zgasły złowrogie płomienie,  
Długo wszakże z poparzenia,  
Zostało przykre cierpienie.

Zal mi szczerze Basi małej,  
Chociaż mam to przekonanie,  
Że odtąd posłuszną będzie  
I rozważną już się stanie.

M. D.



## Sprawozdanie z konkursu kaligrafii.

Sąd w Redakcyi „Wieczorów.” Na stole leży stos arkuszy i arkusików różnej wielkości, około 200 sztuk, a dookoła zasiadło kilka poważnych osób (niektórzy w okularach), by rozpatrzyć i porównać próby pisma czytelników naszych, przysłane na konkurs kaligraficzny. Robota to

nielada i sąd nie zawsze łatwy. Na ogół widzimy u wszystkich dobrą wolę i staranność, pismo wyraźne, porządne, czyste, u wielu znać już pewne wyrobienie ręki, a litery odznaczają się prawidłowością i zgrabnością kształtów, w niektórych jednak próbach zauważyliśmy grubość strychów i nierówność w stawianiu zgłosek, przypominających trochę niesprężęłe konie, kiedy to jeden chce iść na prawo, inny na lewo, a trzeci i czwarty pro-



sto. Zaznaczyć też musimy, że wielu przysłało zbyt małe próbki swego nieraz bardzo porządnego pisma, zadawalniając się tylko kilku liniami, za to inni bardziej pracowici i pilni przysłali nam całe arkusze i kajety, co się im wielce chwali. Od jednej z czytelniczek otrzymaliśmy, jakby w odpowiedzi na rymowane wezwanie Redakcyi, wierszyk, z którego kilka zwrotek przytaczamy:

...Wiersz Redakcyi taki śliczny,  
Że się rwie pióreczko moje  
Na konkurs kaligraficzny,  
I posyła próbki swoje.

\* \* \*

Mój kałamarz zamykany,  
Żartuje ze mnie troszeczkę,  
Razem z piórkiem na przemiany,  
Że poluje na książeczkę!

\* \* \*

Juści jest pokusa mała!..  
Bo nuż coś historycznego  
Sama hym zapracowała,  
I zdobyła coś ładnego.

\* \* \*

Trudno jednak liczyć na to,  
Lecz okażę swe staranie,  
Już... i to będzie zapłatą,  
Gdy się bury nie dostanie!..

Zasylając wszystkim bez wyjątku życzenia, by w dalszej pracy w doskonaleniu pisma nie ustawiali, występujemy w roli sędziów bezstronnych i poczynając od najmłodszych zaznaczamy, że w każdej grupie zasłużyli:

#### Na nagrodę.

5 letni Jaś Woł.

6 letni: Ada Sz., Antoś Kra., Ułan z L., Zosia, Konrad Kas., Maryanek Mir., Gogo, Marysia Mor. i Janek Mach.

7 letnie: Stefania Woj., Iskierka z Kijowa, Zosia Mań., Cyganka, Staś Dlu., Czubate Kurczątko, Ludwik Rit., Lola Ro., Pelunia Buj., Józio Czarny Konik, Głośna Fala, Oleś Obu., Alicya St.

8 letni: Lualamba, Wróbel Orzeł B, Wańdzia Sach., Wodna Lilijka, Lola ze Lwowa, Janinka Ps., Manusia Ziel., Chróścik, Gustaw Lip., Mieczysław Zal., Jadzia Kul., Janina Pog., Biały Kotek.

9 letni: Zosia Jok., Słowik Juchnowiecki, M'Bongwela, Stefa Cu., Jadzia Wien., Modrooka Sarenka, Manusia Pięt., Zajączek z U., Poziomka, Lucyan Ob., Helena Tar., Marya Leś., Genia Sum., Aleksander Rud., Lew, Wacław Bet.

10 letni: Elżunia Ot., Mary Lud., Cecylia Mor., Melania Cuk., Edmund Wys., Zosia Mar., Irenka Ziel.

#### Na pochwałę:

7 letni: Jadwinia Zien., Zosia Ste., Januszek Del., Marya Dom., Jasia Hei., Karol Sad., Władysława Lew., Staś Chel., Janina Kas., Tyło Orz., Cezio Pot., Mania Hry., Hanka Wit., Różia Zar., Wanda Jan., Marya Th.

8 letni: Władzio Rad., Chochlik Leśny, Marychna Os., Wodna Trawka, Piotr Hry., Tadeusz Sim., Felek Wit., Wacław Por., Helena Woł., Witold Pod., Nusia P., Konwalijska z Mąkolina, Staś Ła., Siedzowianka, Wanda Hut., Tadeusz Praż., Wacław Bar.

9 letni: Halina Bo., Czterolistna Koniczyna, Jerzy Orz., Wiochna z pod Opoczna, Jadwiga Szem., Srocza z nad Węty, Adam Pod., Januś Rad., Staś W. z Odesy, Złota Rybka, Maniś Kra., Fiolek Alpejski, Jodełka z nad Wilii, Irenka Mań., Hania Per., Stokrotka z Michałowa, Marysia Mach., Fela Czar., Urszulka Kochanowska, Szczebiotka, Dzidzio Bier., Filutka, Lula, Kazimierz Fry., Zunio Bek., Pliszka, Zosia Puch., Roman Olę.

10 letni: Stanisław Leś., Janina Woj., Motylek z nad Dubisy, Marychna z nad Węzówki, Anulka Jaś., Ewa Sto., Polna Różyczka, Tolcia K., Irena Gór., Janusia Per., i Orzeł.

Panienci z Konina: Alicya S., Marya D., Olga G., Wanda K., Helena S., Janina F., Zofia G., Regina S., Florentyna G., Eugenia P., Rozalia F., Zofia D., Marya C., przysłały tak małe próby, że chociaż ich pismo zasługuje na pochwałę, nagrodę przyznajemy tylko najmłodszej 7 letniej Alicyi St.

Jan Nap. i Romcia A., zasługują na nagrodę, ale nie podali swego wieku.

Nagród zatem przyznaliśmy 60. Po odbiór książek upraszamy o zgłaszanie się do Redakcyi „Wieczorów Rodzinnych,” ulica Mazowiecka Nr. 10, przez co oszczędzi się zwłoki i kosztów przesyłki. Na przesłanie nagród pocztą należy nadesłać dwie marki 7-o kopiejkowe.

### NAPRZYKRZONA MUSZKA.

— Stasiu, czemu się tak kręcisz i niecierpliwisz dzisiaj przy pisaniu?

— Ach, mamuńciu, bo mi ciągle jakaś naprzykrzona mucha lata i brzęczy koło uszu; ja nie mogę pisać, gdy mi przeszkadzają; po co to są na świecie te nieznosne muchy!

Nazajutrz mama pisała list, a Staś bawiąc się w tym samym pokoju, co chwila przybiegał do mamusi, pytając to o to, to o owo. Wprawdzie przyszło mu na myśl, że może mamuńci przeszkadza, ale nie powstrzymało go go to od niepotrzebnego mielenia języczkiem. To tak nieprzyjemnie siedzieć cicho!

— Stasiu — rzekła mama — zdaje mi się, że dziś znowu wpadła do pokoju ta naprzykrzona muszka, która ci tak wczoraj przeszkadzała pisać.

Staś obejrzał się po pokoju.

— Nie, mamuńciu, ja żadnej muszki nie widzę.

— Ale ja ją słyszę — rzekła mama — z pewnością słyszę; tylko, że wczorajsza naprzykrzona muszka, miała skrzydełka, ale za to nie miała w główce rozumku więc nie mogła wiedzieć, że jej brzęczenie jest komuś dokuczliwym, a dzisiejsza muszka powinna by zauważyć, że przeszkadza swej mamuńci.

Staś spuścił głowę i nie odezwał się już ani razu, dopóki mama nie skończyła listu.



# SKRZYDŁA ODWAGI.

(Dalszy ciąg).

**M**arcinka ucieszyła pochwałą wuja, ale wujenka po-  
słyszawszy ją, groźnie brwi ściągnęła i wieczorem, gdy  
inne dzieci już spały, biedny chłopiec usłyszał ją mówią-  
cą do męża:

— Pochwałami twemi nie zawracaj mu głowy;  
z tym przybłądą raz skończyć trzeba. Jutro rano, jak mi  
mówiono, ma tędy krawiec przechodzić, oddam mu mal-  
ca, niech go sobie zabierze, przecież ojciec Marcinka zro-  
bił z nim umowę i życzy sobie, aby chłopak uczył się rze-  
miosła, my nie możemy sprzeciwiać się woli szwagra.

Pstrąg nic nie odrzekł, westchnął tylko po cichu,  
a biedny Marcinek zrozumiał, że wuj, podobnie jak  
i matka, nie obronią go od okrutnego krawca. Postano-  
wił ratować się sam ucieczką.

Czekał póki wuj i wujenka nie zasnęli, a gdy się prze-  
konał, że wszyscy już we śnie pogrążeni, wstał, ubrał się  
pocichu, wziął zawiniątko z rzeczami, które mu służyło  
za poduszkę, sięgnął do kieszeni, by się upewnić, że pie-  
niądze ma przy sobie i zabierał się do wyjścia.

Za posłanie służyła mu wiązka słomy na strychu,  
dokąd wchodziło się małym otworem po drabinie; chło-  
piec szukał w ciemności szczebli, ale drabiny nie było,  
przypomniawszy sobie, że wieczorem wuj, chcąc się dostać na  
drugą stronę strychu zabrał drabinę.

Nie zrażony przeciwnością, wyjrzał otworem na  
dziedziniec, przekonał się jednak, że wysokość była dość  
znaczna, mimowoli strach go ogarnął, bo nuż złamie rękę  
lub nogę. Co tu robić? Chłopcu serce silnie bić zaczęło,  
ale przyszły mu na myśl owe skrzydła odwagi, o których  
wuj kiedyś mówił i śmiało zsunął się na drąg przy domu  
dla kur umieszczony, a stamtąd ześliznął się na ziemię  
i biegnąc w kierunku morza, znalazł się po chwili u przy-  
stani. Brodząc po płytkiej wodzie, po jakimś czasie  
dostał się na wybrzeże morskie, porośnię trzciną.

Chłopiec znużony potrzebował spoczynku. Położył  
się na miękkim piasku i zasnął tak twardo, że już słońce  
stało wysoko na niebie, gdy się nazajutrz obudził. Ura-  
dowany był, że uniknął spotkania z okrutnym krawcem,  
ale radość jego niedługo trwała; spostrzegł bowiem, iż  
obrał złą drogę, i powrócił na miejsce, gdzie się wznosiły  
pagórki, na których się ukrył pierwszym razem, i gdzie  
lada chwila mógł się ukazać szkaradny krawiec. Posta-  
nowił tedy szukać dalej ukrycia przed nieprzyjacielem  
i iść ciągle wybrzeżem, bo słyszał, że krawiec nie lubi  
widoku morza i rzadko obiera sobie drogę blisko brzegu.  
Zachowując tedy wielką ostrożność dla uniknięcia przy-  
krego spotkania, Marcinek doszedł do Pucka, miasta, le-  
żącego nad morzem Bałtyckiem, nad zatoką tego nazwi-  
ska. Miasto to już za Zygmunta Augusta było portem  
warownym a później stało się miastem handlowym.  
Wszedłszy do niego, Marcinek zboczył na jedną z mniej  
uczęszczanych uliczek, tam kupił w małym sklepiku du-  
ży bochenek chleba i powrócił z nim w stronę bezlu-  
dnych wzgórz morskich. Znalazłszy się sam na tem

pustkowiu, chłopiec czuł się tak bezpiecznym, jak pod  
własną rodzicielską strzechą.

Zajadając kawałek chleba, Marcinek rozglądał się  
ciekawie po okolicy; przy świetle dziennem widział z da-  
leka ujście rzeki Reda i ciągnące się za nią równiny. Sa-  
motność nie straszyla go wcale, nawykł do niej pasąc  
bydło na pastwisku, a reszty bojaźliwości pozbył się pod-  
czas ostatnich przygód. Umyślił tedy zwiedzić dokładnie  
całe wybrzeże i osiedlić się tam na dłużej.

Na dłużej! Łatwo tak myśleć, ale co będzie kiedy  
przyjdzie zima, lub gdy zabraknie miedziaków na kupno  
chleba? Gdyby Marcinek miał nawet dużo pieniędzy  
w zapasie, na pustkowiu, gdzie rosły tylko chwasty  
i zielska, nieby za nie kupić nie mógł. Nad morzem było  
mnóstwo różnego rodzaju ślimaków, ale pożywienie to  
nieosobliwe i prędko sprzykrzyć się musiało, a w dodatku  
chłopiec nie miał ciepłej odzieży. Wszystko to byłoby  
powstrzymało jakie rozsądniejsze dziecko od zamiaru  
osiedlenia się na wybrzeżu, ale Marcinek nie nauczył się  
dotychczas przeczności, a zajęty był wyłącznie jedną  
myślą: uciec i schować się przed krawcem.

Zaczął tedy wędrówkę po wybrzeżu. Obok pagór-  
ków zwanych *Czarnemi krowami* wznosiła się skała wysoka  
na kilkadziesiąt stóp. Chłopiec miał nadzieję znaleźć na  
niej jaką kryjówkę, ale nie wiedział, jakim sposobem do-  
stać się na stromy wierzchołek. Gdyby jakie przejście od-  
szukać. Obchodząc dokoła skałę zapoznał się lepiej  
z miejscowością; dojrzał, gdzie stoki góry były mniej  
spadziste, a rozpadliny mniej groźne. Po długich i mę-  
czących wysiłkach, czepiając się rękami i nogami szczelin  
trawą porośłych, dostał się Marcinek na szczyt skały,  
a błądząc czas jakiś natrafił na zagłębienie, które zapro-  
wadziło go do wyżłobionej w kamieniu groty. Musiała  
ona kiedyś służyć za mieszkanie człowiekowi, o czem  
świadczyła kamienna ławeczka i przykopcony kącik, no-  
szący ślad wygasłego ogniska; miejsce to jednak odda-  
wana porzucone być musiało, gdyż wysoka trawa rosła  
u wejścia a z rozpadliny w górze spuszczały się długie  
splątane gałęzie.

Uradowany z wyszukanej kryjówki, Marcinek roz-  
gospodarował się na dobre w pustelni. rozpakował i uło-  
żył rzeczy przyniesione w zawiniątku, a narwawszy wią-  
zkę trawy, usłał z niej łóżko na ławce.

— Teraz krawiec mnie już nie znajdzie — mówił  
sobie w duchu — gdybym tu mógł mieć jedną z naszych  
krówek, nie zbywałoby mi na niczem.

(d. c. n.)

## ZAGADKA.

Ułożyła Lilijska.

Pięć zgłosek tylko mnie składa,  
Murzyn mnie codzień zajada,  
I kto już tego dziś nie wie,  
Że rosne na wielkim drzewie.

Lecz zmień literę środkową  
A pewnie pokrećisz głową,  
Gdyż wraz ochota mnie bierze  
W domowe zmienić się zwierzę.



## LAMIGŁÓWKA LICZBOWA.

Amator ptaków dla Wichury.

1	2	3	4	W 16 przedziałkach przytoczone licz-
5	6	7	8	by w ten sposób rozmieścić, aby za-
9	10	11	12	równo w kierunkach pionowych jak
13	14	15	16	i poziomych dały liczbę 34.

## LAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

Ułożył Ułan.

1	.	.	.	.	.	W kwadracie o 7 przedziałkach
.	2	.	.	.	.	ułożyć 7 wyrazów, tak, aby litery
.	.	3	.	.	.	oznaczone liczbami, złożyły imię
.	.	.	4	.	.	królowej pol. z XV wieku.
.	.	.	.	5	.	Znaczenie wyrazów: 1) Kraj
.	.	.	.	.	6	nad m. Adryatyckiem. 2) Wyspa
.	.	.	.	.	.	Antylska. 3) Drzewo iglaste. 4)
.	.	.	.	.	7	Rzeka we Francyi. 5) Miasto

w Stanach Meksykańskich. 6) Mięczak jadalny. 7) Wulkan w Kordylierach.

## LAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Ułożyła Wanda.

Z następujących sylab: Ah—bra—bie—dor—dya—dys—dry—gra—go—is—le—la—lan—łab—man—o—o—ri—po—se tun—usz—ułożyć 8 wyrazów, których początkowe i końcowe litery złożą dwa bardzo dziś znane utwory malarskie złączone spójnikiem. Znaczenie wyrazów: 1) Ptak, lub wieś. n. Wisłą znana z r. 1656. 2) Miasto na Szląsku. 3) Półwysep amerykański. 4) Narzędzie rolnicze. 5) Bohater epopei greckiej. 6) Równiny bezleśne na Syberji. 7) Bożek perski. 8) Wyspa na morzu Północnem.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 17-go.

Szarady: Pa — no — ra — ma.

### Lamigłówni kropkowanej:

Czas jak strzała szybko leci  
Korzystajcie z niego dzieci.

### Lamigłówni sylabowej:

1) Heloci. 2) Eryk. 3) Naruszewicz. 4) Romuald. 5) Yokohama. 6) Kair. 7) Słowacki. 8) Islam. 9) Erie. 10) Nangasaki. 11) Krezus. 12) Irkutsk. 13) Elly. 14) Wiktor. 15) Ilmen. 16) Cieplice. 17) Zurich.

Henryk Sienkiewicz — Henryk Siemiradzki.

### Lamigłówni kryształowej:

G  
E r a  
A l a n d  
G r a ż y n a  
G r y k a  
O n a  
a

## Skrzynka do listów.

Jutrzence życzymy powodzenia przy zdawaniu egzaminu, a tak jej, jak i siostrze w imieniu biednej dziatwy za przyslanego 1 rub. na Kolonie letnie dziękujemy.

Prawe Serce niechaj przeczyta odpowiedź daną Lilijce w Nr. 5 Wieczorów r. b., bo na zapytanie jego co do „Latającej Ryby,” takąż samą dać mu możemy. Rozwiązanie zadania dobre.

Andr. Zważywszy wiek twój młody, piszesz wcale nieźle i chętnie zaliczamy cię do stałych korespondentów, lecz pod innym pseudonimem. Rebusiki twoje, jeżeli będą udatne, może pomieścimy. Powiastki starszego braciszka przeczytamy i wypowiemy mu swoje zdanie. Dla *calorocznych* prenumeratorów dodajemy premium bezpłatne, w Nr. 1 r. b. były wymienione tytuły książeczek do wyboru.

Białemu kotkowi żądane premium posłano, dalszych listów oczekiwać będziemy.

Zadania własnego układu nadesłali: Wacław S. Błękitna Niezabudka, Biały Murzyn, Janusz M.

Dobre rozwiązania zadań z ostatnich numerów: Lasz., Figlarka, Biały Murzyn, Edmuś i Lolek, Mach., Janusz M.

Wraz z tobą Stokrotko z Sobolówki cieszę się powrotem wiosny, wdychając do chwili, w której za przykładem mych imienniczek wyfrunę sobie poza mury miasta do pól i lasów. Ty znów mieszkając na wsi z równą przyjemnością myślisz o wycieczce do Warszawy. Rozwiązanie szarady i lamigłówni dobre.

Kochanej Śnieżycy za miły i serdeczny listek wdzięczną być muszę i chętnie z odpowiedzią pospieszam. O sobie nie wiele mogę ci donieść, chcąc jednak choć troszkę zaspokoić twą ciekawość co do mojej powierzchowności powiem ci w paru słowach, że mam włosy ciemne, oczy szaro-niebieskie, wzrostu jestem średniego. Upodobań opisywać nie mogą, bo za wiele zajęłoby to miejsca, zajęcia mam liczne, zajmuję się trochę gospodarstwem domowem, opiekuję się memi małemi siostrzeńcami i staram się najsumienniejszym wykonać polecenia Redakcyjne. A korespondencję z wami uważam zawsze za miłą rozrywkę.

Kurce. Oba listy pisane były podobnem charakterem, a na kopertach był ten sam stempel pocztowy, jeżeli więc zaszła z mej strony pomyłka, to nie dziw się temu. U nas wiosna opóźnia się trochę i chociaż wokoło zielono, pogoda nie może się ustalić i czasami jeszcze zimno dokucza. Donieś mi, czy wesoło przeszły ci święta i co teraz porabiasz?

Powiem ci Maro, ale to w tajemnicy przed Redakcją, bo ona zdania mego nie podzieli zapewne, że dobrze się czasem zdarza, gdy jaki numer Wieczorów zaginie na pocście. I teraz na przykład, musiałabym dłużej czekać na zawiązanie z tobą korespondencji, gdyż zaginionemu numerowi zawdzięczam twój miły listek. Chociaż nie mieszkam stale na wsi, ale lubię ją bardzo, znam jej przyjemności i powaby odczuwam. Szaradę i lamigłównę rozwiązałaś dobrze. Mam nadzieję, że gdy już raz znajomość zawarta, pisywać do mnie będziesz, a tymczasem wraz z tobą pozdrawiam siostrzyczki twe i braciszka.

Zawsze wam przyjazna

Juskółka.

## NA KOLONIE LETNIE ZŁOZYLI:

Ludwinia i Alfonsek R. r. 5. Jutrzenka r. 1. Halina L. r. 1. M. K. z Suwałk r. 3. Wańdzia i Jańcia Z. r. 3. Laszka i Strzałka r. 5. Olga Fiala kop. 77. Lucio i Oleś O. r. 3.

Na zakład Ks. Siemca: Guliwer r. 2.

Dla najbiedniejszych dzieci: Dzieci z Otwiernicy r. 1.